Rozmaitości

DNIA 1. MARCA   Ner 9.   1834 ROKU.

PUŁKOWNIK HRABIA CHABERT.

(Powieść podług francuzkiego.)

(Dokończenie.)

W ośm dni potém, w pięknym dniu czerwcowym, udali się oboje małżonkowie, tak dziwnie nadnaturalnym prawie rozdzieleni przypadkiem, do pomieszkania adwokata, z dwóch przeciwnych końców Paryża.

Pułkownik Chabert, dzięki pożyczce Dervilla, przybył w ładnym koczyku, ubrany stosownie do swojego stanu. Świéżo wygolony, na łyséj głowie w nowéj, do twarzy przypadającéj peruce, w granatowym mundurze, nowych bótach, czystéj bieliznie i z krzyżem legii honorowéj, przypomniał sobie stary ten żołniérz dawne nawyknienie do wojskowéj elegancyi. Trzymał się prosto, odmłodniał prawie i wcale nie był podobny do owego Chaberta, co po raz piérwszy przybył do kancelaryi Dervilla. Zajechawszy przed pomieszkanie adwokata wyskoczył nawet z powozu, jak młodzik. Zaledwo koczyk pułkownika odwrócił od bramy, gdy paradna zajechała karéta. Z niéj wysiadła hrabina Ferrand w ubiorze skromnym wprawdzie, ale w którym bardzo jéj dobrze było.

W tém *rendez-vous* było coś dramatycznego, lecz komicznego razem. Zejście się to byłoby daleko szczególniéjsze, gdyby był pan małżonek wystąpił w swoich dawnych łachmanach; lecz i to odmłodnienie jego miało także swoję zajmującą stronę. Co za scena ciekawa w zapylonéj aktami kancelaryi adwokata!

Derville prosił pułkownika, by udał się do pokoju sypialnego, a hrabinę przyjmował w salonie bawialnym. »Hrabino,« rzekł do niéj, »ponieważ nie wiedziałem, czy pani będzie przyjemnie oglądać hrabiego Chaberta, więc go do innego pokoju odesłałem. Lecz gdybyś pani chciała...« Hrabina podziękowała mu za tę grzeczność. — »Sporządziłem akt zgody,« mówił daléj Derville, »któréj warunki oboje państwo lub przyjąć, lub odrzucić możecie. Oboje w téj chwili zawiadomicie się o nich za mojém pośrednictwem, do obojga państwa będę chodził po kolei i zdań jednéj strony drugiéj udzielać będę.«

»Dobrze więc! wymień wćpan warunki,« rzecze dama cokolwiek niecierpliwie, a Derville czytał:... »Dnia 8go czerwca stanęli przede mną, Hipolitem Derville, publicznym notaryjuszem, pan Wincenty hrabia Chabert, urodzony w Paryżu dnia 1. lipca r. 1765 i pani Rozyna Chapotel, małżonka hrabi Chaberta z piérwszego małżeństwa...«

»Opuśćmy wstęp,« przerwała hrabina, »a przystąpmy do punktów warunkowych.«

»Przebacz pani,« rzecze adwokat, »ale wstęp wyjaśnia właśnie położenie, w jakiém się oboje państwo znajdujecie. W artykule 1szym zawarto: Pani Rozyna Chapotel, teraz hrabiną Ferrand zwana, uznaje, że *individuum*, dokładnie określone w przyłączonych do zgody aktach i opisane w obecności dwóch notaryjuszów, tudzież zbawczyni życia, jest hrabią Chabertem, piérwszym hrabiny Ferrand małżonkiem. Artykuł 2gi: Hrabia Chabert przeciwnie, przez wzgląd na przyszłość wspomnionéj swojéj piérwszéj małżonki, obiecuje, z przyznania tego nie robić innego użytku, jak tylko w obrębach, oznaczonych w téj zgodzie. Artykuł 3ci: Hrabia Chabert przystaje na to także, iż przeciw rozgłoszonéj śmierci swojéj nigdy publicznie protestować się nie będzie, i że nie będzie czynił żadnych, bądź sądowych, bądź prywatnych,

)(

kroków względem kasacyi i uznania za nieważne powtórnego małżeństwa żony swojéj, lecz pozostawi takowe w takim stanie, w jakim się ono w czasie obecnym znajduje.«

»I jakież za to wszystko wynagrodzenie?« pospiesznie hrabina zapytała.

»Artykułem 4tym:« czytał daléj adwokat z największą obojętnością, »zobowiąznje się hrabina Ferrand wspomnionemu panu Wincentemu, jak odtąd Chabert prawnie nazywać się będzie, zabezpieczyć sądownie rocznego dochodu 24,000 frank., lecz kapitał, na którym ta summa zapewniona będzie, przypadnie hrabinie po jego śmierci.«

»Wracający z grobów trochę za wiele kosztują,« zrobiła hrabina z uśmiéchem uwagę. »Dobrze, mój panie,« dodała, jeźli to są punkta ugody i skoro się przekonam, że osoba, za którą wćpan przemawiasz, jest istotnie hrabią Chabertem, więc przystaję na nie.«

»Ujrzysz go pani i przekonasz się naocznie; ale on za ofiarę swoję jeden jeszcze podaje warunek, a zwłaszcza warunek... który —«

»Jakiż jeszcze?« zapytała ciekawie hrabina. — »Chce dwa dni w każdym miesiącu, i to jednego z początku, a jednego we środku, być panem w domu hrabiny.«

»Jako? Czy podobna takie czynić żądanie?« krzyknęła hrabina i z gniewem zerwała się z krzesła.

»Chciał sześć dni w każdym miesiącu,« dodał Derville, »lecz skłoniłem go, że odstąpił...«

»Dosyć, mój panie! ani słowa więcéj, będziem się procesowali!«

»Tak jest, będziem się procesowali!« przerażającym głosem zawołał pułkownik, otworzył drzwi i stanął niespodziewanie przed żoną swoją. Jednę rękę trzymał na sercu, drugą wskazywał ku niebu i stał tak, surowy, okropny, nieubłagany, nieruchomy.

»To ón!« zawołała pół-głosem hrabina.

»Mościa pani,« rzecze pułkownik, »teraz chcę ją miéć całą i bez żadnych podziałów.«

»Aleź — mój panie — wćpan nie jesteś Chabertem — czegoż chcesz?« rzecze hrabina kryjąc wewnętrzne wzruszenie.

»Może wćpani żądasz dowodów?« odrzekł starzec w tonie ironicznym. »Widziałem cię po raz piérwszy u hrabiego Gilbert, byłaś pokojówką jego żony.« Hrabina zbladła, a stary żołniérz, widząc ją tak pod różem bladnącą, wstrzymał się, poruszony cierpieniami kobiéty, którą niegdyś tak mocno kochał; ale gdy ujrzał, jak ta okropném i zjadliwém rzucała na niego spojrzeniem, mówił daléj w podobnym tonie: »Tylko Chabert mógł o tém wiedziéć, nie prawdaż, mościa pani? A jeźli nie raczysz poznawać jeszcze mojego głosu, i wymagasz dobitniéjszego przekonania, chciej sobie przypomniéć ów dzień, kiedyto...«

»Mój panie,« przerwała hrabina, zwracając się do Dervilla, »chciéj mi przynajmniéj w swoim domu obelg oszczędzić. Odchodzę, bo nie jestem do podobnéj hańby przyzwyczajona!« To mówiąc owinęła się szalem i wyszła. Derville udał się za nią, chciał ją nawrócić, lecz nie słuchała go i, jak strzała, pobiegła po schodach. Wróciwszy Derville zastał pułkownika w okropnym gniewie. Wielkiemi krokami przechadzał się po pokoju i wołał, uderzając się po czole:

»Kobiéta, któréj milijon dałem, targuje się ze mną. Wywyższyłem ją do siebie, a ona teraz do mnie zniżyć się nie chce. Zamorduję niewierne jéj serce!«

»Nie miałżem słuszności pułkowniku,« rzecze Derville, »kiedym prosił wćpana, ażebyś nie był obecny téj rozmowie? O prawdziwości osoby twojéj jestem teraz zupełnie przekonany. Skoro się tylko pokazałeś, można było czytać w każdym rysie jéj twarzy, że cię uznała za to, czém się mienisz, a jednak przegrasz proces; bo niewiasta ta nigdy do tego nie przyzna się publicznie, co mi tak jasno wydała chwila jéj piérwszego pomieszania.«

»Zabiję ją!« na pół z płaczem mruknął pułkownik pod nosem. — »Byłobyto niedorzecznością,« odparł adwokat, »pojmanoby wćpana i gilotynowano, jak prostego zabójcę. Teraz nic wćpanu czynić nie wypada, jak tylko zdać się na mnie, ażebym jego nierozmyślną prędkość naprawił. A teraz idź wćpan.«

Pułkownik był posłuszny swojemu młodemu dobroczyńcy, wybąknął jeszcze kilka usprawiedliwień i wyszedł. Powoli i w bolesnych myślach schodził ze schodów, gdy na ostatnim coś zaszelestało i małżonka jego stanęła przed nim.

»Pójdź wćpan,« rzekła do niego z cicha i tak poufale, jak niegdyś, oparła się o jego ramię. Głos ten, to oparcie się, tak skutko-

wało na złość, kipiącą w łonie starego żołniérza, jak zimna woda, wlana do wrzącego kociołka. Gniéw jego ustał, nie mógł słowa przemówić i pozwolił prowadzić się żonie do powozu. »Siadaj wćpan,« mówiła do niego, gdy służący stopień spuścił.

»Dokąd pojedziemy?« zapytał służący. — »Do Groslay,« odpowiedziała hrabina. Konie poczwałowały po Paryżu.

»Poznałam wćpana,« rzekła hr. tonem, poruszającym najgłębsze tajniki duszy Chaberta.

»Rozyno!« przemówił pułkownik głosem drżącym, »ja też więcéj niczego nie chcę, jak tylko tego, za moje wszystkie cierpienia.« Mimowolnie uronił dwie łzy duże, a te padły na rękę jego żony, którą uchwycił i z zapałem uścisnął.

»Możesz sobie wćpan wyobrazić,« mówiła daléj hrabina, »jak wiele mię to przezwyciężenia kosztowało, żem przed obcym moje najczystsze uczucia ukrywać musiała. Jeźli mam się rumienić za moje terazniéjsze położenie, to chcę to tylko przed samym wćpanem uczynić. Spodziéwam się więc, że usprawiedliwisz mię z przybranéj obojętności mojéj. Odebrałam listy wćpana,« mówiła coraz żywiéj, »lecz te dopiéro w 13cie miesięcy po bitwie pod Eylau dostały się w ręce moje; odebrałam je rozpieczętowane, powalane, podarte; a ponieważ sam Napoleon mój nowy kontrakt ślubny podpisał, czyliż mogłam być innego zdania, jak tylko, że jakiś przebiegły oszust wmieszał się w tę sprawę. By więc nie truć spokojności hrabi Ferranda i nie zrywać związków familii; słuszna zatém, że fałszywego Chaberta wystrzegać się musiałam. Sam wćpan mów, czyż nie powinnam była tak czynić?«

»Powinnaś była, moja droga, a jato byłem nierozsądny i porywczy, że nie lepiéj zastanowiłem się nad skutkami twojego położenia. Ale dokądże jedziemy?« zapytał pułkownik, dostrzegłszy, że powóz przebywa właśnie baryjerę Lachapelle.

»Jedziemy do mojego wiejskiego domu koło Groslay, w dolinie Montmorency. Tam umówimy się z sobą, co nam czynić wypadnie. Znam obowiązki moje. Jestem małżonką wać pana przed Bogiem i podług prawa, lubo w istocie nią nie jestem. Ale chceszże wćpan, ażebyśmy przed całym Paryżem, przed całą Europą na pośmiewisko się wystawili? Gdy roztrzygniesz los mój, wtedy będę umiała stosować się do twojéj woli, ale aż dotąd tajemnica nasza niech przy nas pozostanie i utrzymajmy godność naszę. Wćpan mnie kochasz,« mówiła daléj tonem łagodnym, rzucając na pułkownika czułe i słodkie spojrzenie, »i nie byłam powinna nowych zawiérać związków; lecz chcę wynurzyć całe serce moje człowiekowi, którego znam charakter i w którego wspaniałomyślności zaufanie pokładam. Kocham hrabiego Ferranda; — nie chcę wćpanu tego mówić, że on jest młody, ładny, przyjemny, i że mi się podoba; nie! gdyby był nawet brzydki, kochałabym go, i sądzę, żem tak robić powinna. Nie rumienię się tém wyznaniem, może ono być bolesne dla wćpana, lecz mię nie poniża wcale. W téj chwili uważam cię jak ojca, jak przyjaciela mojego. Głos potajemny, znaną mi dobrocią serca wćpana obudzony, mówi mi, że będziesz tak wspaniałomyślny, iż mi przebaczysz... Uznaję cię za mojego sędzię i zdaję się na twoję łaskę. Przypadek zrobił mię wdową, ale nie byłam matką i dopiéro teraz nią jestem.«

Pułkownik dał swojéj żonie znak ręką, ażeby milczała, i z pół godziny prawie oboje w milczeniu zostawali. Nakoniec rzekł z rozrzewnieniem: »Ach, Rozyno! umarli powinni w grobie pozostać, nie prawdaż?«

»Nie, nie! nie miéj mię wćpan za tak niewdzięczną. Znajdziesz tam matkę gdzie małżonkę postradałeś; ale, lubo nie jest już więcéj w mocy mojéj kochać wćpana dawną miłością, wiém jednak, co mu winna jestem, a przyjacielowi i chcę i mogę wszystko poświęcić, co tylko —«

»Rozyno!« przerwał Chabert w tonie łagodnym, »nie znam zemsty! Że ci przykre podawałem warunki, czyniłem to dla tego tylko, iż mniemałem, że mię zapoznajesz, że szydzisz z mojego nieszczęścia. Chciéjmy zapomnieć o wszystkiém,« dodał z uśmiéchem, którego powab był pięknéj duszy odbłyskiem. »Niech Bóg mnie broni, bym żądał od ciebie miłości, któréj dać mi nie możesz. Wściekłość i zemsta podały mi myśl owę. Chciałem być w szczęściu twojém żyjącym wyrzutem sumienia, chciałem je, ile możności, zatruwać, ale teraz — wstydzę się tego.« Hrabina, za oświadczenie to, spojrzała na Chaberta z taką

wdzięcznością, że biedny byłby z radości powrócił do grobu pod Eylau.

»Mój przyjacielu, o tém wszystkiém poźniéj pomówimy, jak będziemy spokojniejsi cokolwiek,« rzekła hrabina, i rozmowa ich inny wzięła kierunek. Przypominali sobie szczegóły dawnych związków swoich, którym hrabina poufałémi postrzeżeniami nowy powab nadać umiała. Obudziła miłość nie wzniecając żądzy i okazała się dawnemu mężowi swojemu, jako cel błogi, uszczęśliwającego losu. Przybyli nareszcie do wielkiego parku w dolinie malowniczéj, dzielącéj wzgórza Margency od przyjemnéj wioski Groslay. Hrabina miała tu domek wiejski, obficie zaopatrzony we wszystko, co ku wygodzie i rozrywce służyć może. Nieszczęście pomnaża nieufność u złych ludzi, a u dobrych przychylność powiększa; tak i nasz Chabert stał się przez nieszczęścia lepszym, jak nim był w istocie; wszelako chociaż cokolwiek już tylko nie dowierzał, nie mógł się wstrzymać, ażeby nie zapytać żony swojéj: »Więc jużeś naprzód ułożyła sobie zawieźć mię tutaj?«

»Tak jest,« odrzekła, »skoro w przeciwniku moim mojego Chaberta znalazłam.« Mówiąc to, tak przyjemnie uśmiéchnęła się, że uśmiéchem tym wygnała ostatek podejrzenia z duszy pułkownika.

Przez trzy dni była hrabina nader uprzedzającą dla swojego gościa. Zdawało się, że udziałem, współczuciem i uprzejmością chce zatrzeć wspomnienia jego cierpień. Czarowała go zupełnie. Lecz wieczorem dnia trzeciego, odszedłszy do swojego pokoju, zdjęła maskę udawania i jak aktorka, która po roli natężającéj do garderoby powraca, znużona rzuciła się na sofę. Zabrała się do ukończenia rozpoczętego listu.

Hrabia Ferrand, który przy znacznym majątku miał, jak naturalna, wiele interesów, wybrał sobie na sekretarza starego podupadłego adwokata, szczwanego lisa, biegłego we wszystkich rodzajach matactwa, lecz który za nadto dobrze znał położenie swoje u hrabiego, by nie miał być poczciwym dla spekulacyi. Miał nadzieję, że tym sposobem przez kredyt i za wstawieniem się swojego protektora uzyska z czasem jakie zyskowne miejsce. Postępowanie jego w ostatnich czasach wcale nie było podobne do dawnego życia, tak, że uchodził za człowieka, którego niesprawiedliwie spotwarzano; lecz hrabina zbadała go z właściwą kobietom przenikliwością, i miała się względem niego na baczności. Umiała pojąć tego człowieka i użytkowała z tego w stosunkach majątkowych. Do niegoto kończyła ów list rozpoczęty. Prosiła go udać się jéj imieniem do adwokata Derville i prosić o udzielenie aktów, tyczących się pułkownika Chaberta, a potém, skoro je odczyta i porobi z nich potrzebne wypisy, ażeby natychmiast udał się do niéj do Groslay. Zaledwo list ten skończyła, gdy na kurytarzu usłyszała kroki pułkownika, który, zupełnie spokojny, odwiedzić ją przychodził. Gdy wszedł, rzekła, jak gdyby do siebie: »Ach, wolałabym umrzeć raczéj. Położenie moje nieznośne.«

»Co pani jest?« zapytał z troskliwością dobry ten człowiek.

»Nic, nic wcale!« odparła, potém wstała, wyszła z pokoju, dała pokojowéj list i nakazała jéj, ażeby natychmiast jechała do Paryża i list ten panu Delbecq oddała. Pokojowa odjechała natychmiast, a hrabina usiadła w ogrodzie na ławce, widocznéj z całego domu, ażeby pułkownik mógł ją zaraz znaleźć, gdy z nią mówić zechce. Lecz pułkownik szukał już jéj, a znalazłszy usiadł przy niéj na ławce. »Rozyno!« przemówił, »maszli wćpani zmartwienie jakie?« Nic nie odpowiedziała.

Wieczór był jeden z najpiękniejszych i najspokojniejszych, jakiémi w czerwcu obdarza nas natura; słońce zachodziło właśnie, powietrze było przyjemne, niebo czyste, powszechna świeżość orzeźwiała kwiaty i ludzi, a w parku kilka głosów dziecięcych mieszało się ze spiewem słowika.

»Pani nie odpowiadasz mi?« rzekł Chabert.

»Mąż mój,« zaczęła hrabina, lecz słowo to skonało na jéj ustach i dodała z zarumienieniem: »Przebacz, panie, ale jakże mam mówić inaczéj, wspominając o Ferrandzie?«

»Zwij go małżonkiem, ile chcesz,« odrzekł pułkownik z niebiańską dobrocią, »wszakże on jest ojcem twoich dzieci;« i stary żołnierz westchnął na to.

»Gdy więc,« mówiła daléj, »zapyta mię Ferrand, com tu tak długo robiła? Jeźli się dowie, żem tu z jakimś obcym przebywała, cóż mu powiém na to? Więc proszę wćpana roztrzygniéj los mój, jestem na wszystko przygotowana.«

»Kochanko moja!« odrzekł Chabert, ściskając z zapałem obie jéj ręce, »jestem gotów poświęcić się twojéj spokojności, twojemu szczęściu.«

»Czy podobna!« zawołała hrabina z konwulsyjném poruszeniem. »Pomniéj, że będziesz musiał wtedy zrzec się przed sądem wszystkich praw swoich, swojego imienia, a nawet samego siebie.«

»Przed sądem?« powtórzył pułkownik, »czyliż mojego słowa nie dosyć?«

Słowo sąd padło jak ołów na serce starca i znowu podejrzenie jego obudziło. Pojrzał na żonę szlachetnym i spokojnym wzrokiem i zarumienił ją, tak, żę oczy w dół spuścić musiała. On się obawiał, ażeby nie musiał pogardzać kobietą, którą tak bardzo kochał, ona zaś lękała się, ażeby zacnego charakteru Chaberta nie wystawiła na zbyt ostrą próbę. Teto wyobrażenia ponurémi chmury zasępiły czoła obojga. A w tém

z daleka dał się słyszeć głos dziecięcia. »Julciu, daj pokój twojej siostrze!« wołała hrabina.

»Jako?« pani dzieci są tutaj?« zapytał pułkownik. — »Są, ale zakazałam im tu przychodzić, ażeby panu nieprzyjemności nie robiły.«

Stary uczuł całą delikatność tego zakazu, pocałował w rękę swoję żonę i rzekł: »Każ im, pani, przyjść tutaj.«

Mała dziewczynka przybiegła skarzyć się na swojego brata; chłopczyk usprawiedliwiał się i głosy obojga dzieci się pomieszały, gdy w postawie błagalnej wznosiły rączki do matki.

»Niewinne, a jednak zhańbione sieroty!« zawołała matka, zalewając się łzami i oboje przytulając do siebie.

»Czyto przez ciebie płacze moja mama?« zapytał chłopczyk i gniewne spojrzenie rzucił na Chaberta. — »Cicho Julciu!« strofowała matka. Dzieci zamilkły, na matkę i na obcego patrząc ciekawie.

»Widzę to,« rzecze nareszcie pułkownik stanowczym, ale cokolwiek drżącym głosem, »widzę, że mi do grobu powrócić potrzeba; na ziemi nie ma już dla mnie miejsca.«

»Nie, ofiary takiej przyjąć nie mogę,« zawołała hrabina. »Są wspaniałomyślni mężowie, którzy śmierć ponoszą dla uratowania honoru swej damy; lecz oni raz tylko poświęcają życie, a wćpan codzień byś umierał. Nie, to nie może, to nie powinno być. Gdyby tu tylko szło o życie, ale tu idzie o honor wćpana. Tej hańby, ażeby wćpana za kłamcę, za oszusta miano, żadną miarą żądać nie mogę. Ach! gdybym tylko moich biednych dzieci nie miała, jużbym była dawno na koniec świata uciekła.«

»Czyliż nie mogę« przerwał jéj Chabert,« tu, w tym wiejskim domku wćpani, żyć jako jéj krewny? Ja nie długo już na tym świecie naprzykrzać się będę, a do tego nic nie potrzebuję, jak tylko kawałek chleba i trochę wody; z resztą, jak będę miał tytoń i gazetę, będę zupełnie szczęśliwy.« Hrabina rozpływała się we łzach. Między obojgiem wszczęła się walka wspaniałomyślności, w której pułkownik zwycięzcą został.

Pewnego wieczora, gdy żonę swoję, lub raczej matkę, widział w kole swych dzieci, wtedy, mocno tym obrazem familijnym wzruszony, zrobił postanowienie, umarłym pozostać, nie uważając już na nic, coby ztąd dla niego wyniknąć mogło. Zapytał więc, co ma uczynić, by szczęście téj familii niezachwianie ustalić?

»Rób wćpan, co się mu podoba,« rzecze hrabina, »ale ja z mojéj strony oświadczam, że się wcale do tego interesu nie mieszam; nie mogę i nie powinnam się mieszać.«

Delbecq powrócił od kilku dni i, według poleceń hrabiny, umiał zaufanie starego żołnierza pozyskać. Dnia pewnego pojechał pułkownik z panem Delbecq do Saint-Leu-Taverny, gdzie tenże chciał z pułkownikiem robić u notaryjusza protokuł. Chabert oburzył się, słysząc, co mu w usta kłaść chciano. »Do tysiąc bomb i kartaczów!« zawołał, »pięknie wystrychnąć mię chcecie, ażebym za oszusta uchodził!«

»Mój panie,« odrzekł przebiegły Delbecq, »nie radzę wćpanu tak na sucho podpisywać. Ja na miejscu wćpana obwarowałbym sobie przynajmniej z 10,000 frank. rocznego dochodu, ażeby coś przecie z tego procesu skorzystać — hrabina musiałaby zezwolić.«

Pułkownik zmierzył łotra tego pogardliwém spojrzeniem i jak młodzik poleciał do domu, podczas gdy tysiączne myśli snuły mu się po głowie. Wszedł do parku tylną furtką i zamyślony usiadł w kiosku. Przypadkiem znajdowała się hrabina w altanie, tuż do kiosku przypierającéj, niespokojność malowała się na jéj obliczu i z największą niecierpliwością poglądała ku gościńcowi z Saint-Leu. Nie widziała pułkownika, ponieważ nie gościńcem, lecz przyległym laskiem powrócił. Nareszcie dały się słyszeć kroki, ktoś wszedł do altany, i hrabina zapytała się wchodzącego: »No i cóż, panie Delbecq, podpisał?«

»Nie podpisał, mościa hrabino. Zwietrzył o co idzie i uciekł na cztery wiatry.« Pułkownikowi gorąco się zrobiło, słysząc te słowa; zerwał się, wpadł do altany i mówiącemu wypalił tęgi policzek, wołając: »Nie uciekłem i oto odpowiedź na żądanie, którego po mnie wymagać śmiano.«

Delbecq oddalił się spiesznie z altany, a rozgniewany Chabert przystąpił do hrabiny, która oczy spuściła i płakać chciała, ale złość wewnętrzna nie dała łzy jéj uronić. Długo Chabert patrzał na nię z założonemi rękoma, a nareszcie rzekł: »Niewiasto! nie złorzeczę ci, ale — pogardzam tobą. Wdzięczny jestem losowi, który mię z tobą rozłącza. W téj chwili nie czuję nawet chęci do zemsty, bo cię nie kocham więcéj. Niczego już nie żądam od ciebie; dzieci twoje, które tam oto w trawie się bawią, nie będą zhańbione. Żyj spokojnie, nie myślę więcéj naprzykrzać się tobie, daję ci na to słowo honoru, a to daleko więcéj znaczy, jak bazgranina wszystkich adwokatów. Nie będę upominał się o imię, któremu, śmiało to mówić mogę, sławę zjednałem. Na przyszłość zostanę tylko biednym, nieznajomym tułaczem na świecie, który już niczego nie żąda. Żyć będę wspomnieniami czasów upłynionych. Bywaj zdrowa!« Hrabina padła mu do nóg i chciała go zatrzymać, chwytając za obie ręce, lecz on odtrącił ją ze wzgardą i odszedł.

Ani Derville ani hrabina nie wiedzieli czas długi, co się stało z pułkownikiem Chabertem.

Ow mleczarz, u którego mieszkał, podupadł i został fiakrarzem. Derville, do którego ani pułkownik, ani hrabina nie zgłaszali się, sądził, że może pogodzili się z sobą. Nareszcie po sześciu miesiącach obliczył summę, którą pożyczył Chabertowi, skrypt tegoż przyłączył do aktów, jakie był z Niemiec otrzymał, i posłał te papiery do hrabiny Ferrand, przydając bardzo grzeczny bilecik z próżbą o oddanie pożyczonej pułkownikowi summy. Zaraz nazajutrz odebrał następującą odpowiedź:

»Mości panie! Hrabina Ferrand rozkazała mi »donieść wćpanu, że klient wćpana jego zaufania »i dobroci nadużył. Człowiek ten bowiem, który »się pułkownikiem hrabią Chabertem mianował, »zeznał, że fałszywym sposobem przywłaszczył »sobie imię i godność tego zacnego męża, o czem »donosząc, mam honor zostawać wćpana uniżonym sługą. Delbecq.«

»Są w rzeczy samej ludzie, którzy gorsi są, jak sobie wyobrażamy,« zawołał Derville, gniotąc list w ręku. »Bądźcież tu teraz ludzkimi, wspaniałomyslnymi, wy filantropowie, wy adwokaci, jeżli chcecie zniszczyć się do szczętu. Łatwowierna dobrotliwość moja kosztuje mię summę, jaką zaledwo za dziesięć procesów odzyskam.«

W rok po odebraniu tego listu miał Derville sprawę w pałacu sądu policyjnego, gdzie właśnie przybył na to, jak prezydent człowieka, imieniem Wincenty, skazywał jako włóczęgę na dwa miesiące więzienia, a potem na umieszczenie w szpitalu żebraków w Saint-Denis. Derville, usłyszawszy imię to, pojrzał na delinkwenta, siedzącego między dwoma żandarmami na ławce obwinionych i poznał w nim fałszywego pułkownika Chaberta.

Stary żołnierz siedział spokojnie, bez ruchu, roztargniony prawie, atoli mimo łachmanów, któremi był okryty i nędzy, wyglądającej z rysów jego twarzy, oblicze jego wyrażało jednak szlachetną dumę, a w spojrzeniu miał pewny wyraz stoicyzmu. Gdy go prowadzono, przystąpił Derville do niego i zapytał: »Czy znasz mię wćpan?«

»Znam wćpana,« odpowiedział Chabert.

»Jeźli wćpan jesteś uczciwym człowiekiem,« rzecze dalej do niego Derville, cichszym głosem, »jakże mogłeś zostać dłużnikiem moim?«

Tu starzec zarumienił się tak mocno, jak młoda panna, którą matka o tajne miłostki obwinia, lecz potem zawołał donośnym głosem: »Jako? To wćpanu hrabina Ferrand nie zapłaciła?«

»Nie, mój panie,« odrzekł Derville, »i tylko miasto tego doniosła mi, że wćpan oszustem jesteś.«

Starzec podniósł oczy ku niebu, jak gdyby wzywał je za świadka; a potem rzecze: »Jeźli zechcesz, panie, wyrobić mi na to pozwolenie u żandarmów, to dam wćpanu skrypt, który z pewnością honorowany i zapłacony będzie.«

Na słowo adwokata pozwolił sierzant żandarmów udać się obu do pomieszkania dozorcy więzienia. Chabert napisał kilka słów, zapieczętował, zaadresował list do hrabiny Ferrand i oddał go Dervillowi. »Mój panie,« mówił, »wierzaj mi wćpan, że lubo nie byłem w stanie okazać tej wdzięczności, jaką mu winien jestem, nie mniej jednak czuję ją tu — w sercu mojem. Biedny żebrak cóż więcej, niestety, dać może?«

»Czyliż wćpan nie wymówiłeś sobie żadnej rocznej pensyi?« zapytał Derville.

»Nie mówmy o tem,« przerwał starzec, »gdybyś wćpan wiedział, jak dalece życie mi obrzydło, życzyłbyś mi szczęścia, zaiste, że mię tutaj znajdujesz. Niczego nie żądam więcej — krom śmierci.« Rzekłszy te słowa, odwrócił się od Dervilla, który poszedł do domu i dependenta swojego wyprawił z listem do hrabiny Ferrand, a ta odesłała natychmiast summę, jaką mu Chabert był winien.

*

Roku 1830, w połowie lipca, szedłem z pewnym adwokatem do Ris. Gdyśmy przyszli na ulicę Bicetre, pod lipą na drodze ujrzeliśmy jednego z owych ubogich znędzniałych starców, którzy podobnie żyją kosztem publicznym w Bicetre, jak ubogie niewiasty w Salpetriere. Nieszczęśliwy ten, jeden z owych dwóch tysięcy, utrzymywanych razem w szpitalu starców, siedział na kamieniu i zdawał się ogrzewać na słońcu. Starzec ten miał ujmujące rysy twarzy i ubrany był w czerwonej katance, co było barwą szpitalu.

»Patrz wćpan na tego starca, Dervillu!« rzekłem do mojego towarzysza. Czyliż nie podobny do owych figurek z czokolady, jakie nasi cukiernicy sprzedają? I mumia ta żyje i może jeszcze szczęśliwa.« Derville dobył lorynety, pojrzał na starca, a okazawszy podziwienie, rzekł: »Ten starzec jestto żyjący poemat.«

Przeszliśmy spieszno. »Czy znasz wćpan hrabinę Ferrand?« wkrótce potem zapytał mię Derville — »Znam, jestto bardzo rozsądna, bardzo przyjemna dama.« — »Ow starzec z Bicetre to jej małżonek.« Postrzegłszy Derville, że mię to mocno zadziwiało, opowiedział mi historyją Chaberta, ale z mnóstwem szczegółów i z nadzwyczajnym talentem ustnego opowiadania.

Nazajutrz zaproponowałem Dervillowi, ażebyśmy Chaberta odwiedzili w Bicetre. Udaliśmy się tam i zastaliśmy starca, siedzącego na pniaku, a w jednej ręce trzymał kij i zatrudniał się rysowaniem linij po piasku.

»Dzień dobry, pułkowniku Chabercie!« przemówił do niego Derville.

»Nazywam się Wincenty,« odrzekł tenże, »i zajmuję numer 165, w siedmnastéj sali;« mówiąc to, trwożliwie poglądał na Dervilla, z bojaźnią starca

i z lękliwością dziecięcia. „Wćpanowie przychodzicie zapewne widzieć skazanego na śmierć delinkwenta?“ mówił dalej po krótkiém milczeniu; „jestto bezzenny człowiek.“

„Biedny starcze,“ rzecze Derville, „czy mogę ci dać pieniędzy na tytoń?“ Pułkownik chciwie nadstawił rękę. Daliśmy mu każdy po srébrnym pieniądzu, za co nam podziękował, przyłożywszy lewą rękę do białych włosów swoich. Potém udawał prezentowanie broni, nabijał, przymierzał i krzyknął: „Ognia!“ a w końcu znowu, jak dawniéj, rysował kijem figury po piasku.

„Rany i starość zrobiły go dzieckiem,“ rzecze Derville. — „Co, on dziecko?“ przerwał nam inny mieszkaniec Bicetru, który stał od nas nie daleko. „O, to złośliwa sztuka, to filozof!“ — „Co za przeznaczenie!“ zawołałem. „Ten starzec, który Napoleonowi pomagał zdobywać Europę, umiera teraz w szpitalu żebraków!“

(Przetłumaczono na język polski z niemieckiego przerobienia pa. J. F. Castelli.

ZADANIE DO NAGRODY

TOWARZYSTWA UMIEJĘTNOŚCI KRÓL. CZESKIEGO w Pradze na r. 1834, w którym towarzystwo obchodzić będzie uroczyście pierwszą 50letnią epokę swego zawiązania się, ogłoszone w kwietniu r. 1833.

Zadanie do analizy należące: Czyli ogólne zupełne równania, wyższego stopnia aniżeli 4ty, rozwiązane być mogą ogólnie za pomocą skończonego wyrażenia, dotąd jeszcze musi być uważane jako nierozwiązane. Nie możemy bowiem uważać za dostateczne tak wszystkie dawniejsze rozwiązania, jak i dowód, podany nie dawno przez Ruffiniego, iż otrzymanie takiéj formuły jest niepodobném. Po szczęśliwém przebyciu tylu trudności w téj części czystej matematyki, przykroby zaiste było, zostawić to zadanie niewyświécone, zwłaszcza gdy i długo szukany dowód twierdzenia, iż każda współmierna funkcyja $n$tego stopnia da się rozłożyć na n pojedyńczych czynników, wynalezionym już dziś został bystrością dowcipu pana Cauchy, i nawet wyprowadzony prawdziwie elementarnym sposobem. Życzy więc sobie towarzystwo, aby po krótkim krytycznym rozbiorze niektórych pism, tyczących się tego zdania, a mianowicie dzieła: *Analyse des équations determinées, par M. Fourier*, aby, mowię, zadosyć uczyniono jednemu z dwoch następujących punktów: „Albo dowieść z największą ścisłością, że w równaniu zupełném ogólném „wyższém, aniżeli stopnia 4go, niepodobieństwem jest przed„stawić wartość ilości niewiadoméj za pomocą wyrażenia „skończonego; lub też przeciwnie, wynaleźć podobną for„mułę, albo wskazać przynajmniéj podobieństwo jéj wy„prowadzenia.“ — Nagroda za najlepsze wypracowanie tego zadania jest 50 cesarskich dukatów w złocie, i oprócz tego 250 egzemplarzy uwieńczonego pisma, drukowanego nakładem towarzystwa. Odpowiedzi współubiegających się mogą być w języku niemieckim, łacińskim, francuzkim lub włoskim pisane, czytelnie, obcą ręką, i opatrzone dewizą. Taż sama dewiza na osobnej kartce, z podpisem autora i opieczętowana, ma być przesłana *franco* pod adresem niżéj podpisanego sekretarza król. towarzystwa, a to przed końcem sierpnia r. 1834. — Opieczętowane kartki tych współubiegających się, którzy nie otrzymają nagrody, zostaną spalone, a rękopisma będą na żądanie właścicieli podług dewizy zwrócone. W Pradze, d. 25. kwietnia 1833.

Dr. Mathias Kalina v. Jaethenstein,
sekretarz król. towar. umiejętn.

— Ze Lwowa. —

Zeszyt ósmy Czasopisma Naukowego za rok 1833, od zakładu narodowego imienia Ossolińskich wydawanego, już wyszedł z druku i zawiéra następujące rzeczy: 1) Początek Sławian, rozprawa 4ta, z rękp. J. M. Ossolińskiego. 2) O rozmaitych rodzajach ludzi, przez Michała Popiela. 3) Wyjątek z dzieła Salvandego „Historyja polska“ przez X. W. 4) Poezyje Bronisł. Szołajskiego. 5) Głos dyrektora (instytutu) Słotwińskiego, w sali instytutowéj d. 12. paźdz. 1833 miany. Spis darów uczynionych dla zakładu narod. im. Ossolińskich i dawców tychże w ciągu r. 1833. 6) Spis dzieł drukowanych i litografowanych we Lwowie r. 1833. 7) Spis przedpłacicieli w tym porządku, w jakim Czasopismo zamówiono. 8) Ogłoszenie Czasopisma naukowego na r. 1834. 9) Skazownik osób i rzeczy, w Czasopiśmie roku 1833 wymienionych. — Życzący sobie zamówić to pismo na rok bieżący 1834, zechcą się wcześnie zgłosić, bo tylko 200 egzemplarzów się odbija.

Znaną Kronikę łacińską miasta Lwowa, napisaną w 17tym wieku przez Bartł. Zimorowicza, burmistrza tutejszego, przełożył na język polski profesor gymnazijalny tutejszy, pan Piwocki, i obok z tekstem oryginału drukiem wydać zamyśla, pomnożywszy dzieło to własnémi przypiskami, do czego wiele pomagał mu j. ks. Barlaam Kompaniewicz, prokurator ks. ks. bazylijanów tutejszych, których własnością jest ta kronika, dotąd w rękopiśmie przechowywana. Jestto ta sama, którą na żądanie Karamzyna posyłano mu do Petersburga, gdy pracował nad: „Dziejami państwa rossyjskiego.“

Dnia 17. lutego dawano w teatrze tutejszym po raz pierwszy komedyją w 4ch aktach, oryginalnie wiérszem przez Alex. hr. Fredra napisaną, pod nazwą: Zemsta. Pan Fredro jak wszędzie w charakterach jest nowy i mocny, tak i tu rozwinął je bardzo trafnie, i, że tak rzekę, oparł na historycznych podaniach zwyczajów naszych ojców w początkach drugiéj połowy zeszłego wieku. Między innémi udały mu się bardzo szczęśliwie dwa charaktery: junaka z czasów konfederacyi barskiéj i powolnego, zimnego, grzecznego, ale chytrego rejenta, w którym przywołał nam na pamięć czasy znanéj palestry. Cała sztuka ma wiele scen wzorowych, wiele dowcipu, ale szczególnie akt czwarty jest pełen najzabawnéjszych sytuacyj. Teatr był osobami różnego stanu niezmiernie napełniony, co jest dowodem smaku publiczności naszéj i jéj zamiłowania w utworach oryginalnych. Sztuka ta była powtórzoną dnia 19go t. m. ...i.

Z Wiédnia. Staraniem hrabiego Stanisława Dunin-Borkowskiego już się kończy druk starego Psałtérza polskiego, znalezionego u Ś. Floryjana w Lińcu. Może to jest piérwsze dzieło pisane językiem polskim. Dołączone jest do tego *fac simile* i jestto nader ciekawy zabytek literacki, którego całą historyją umieścił pan Borkowski w przemowie, a w końcu dodał objaśniający słowniczek.

Z Krakowa. Kraków chce stanąć na czele w dziennikarstwie polskiém, oto już piąte pismo czasowe zapowiedziano w tak małym kraiku: Dziennik dla płci pięknéj, wychodzić mający pod redakcyją Józ. Wyleżyńskiego.

W Wrocławiu wyszła książeczka: Piérwsze poezyje młodego Polaka. 1834, str. 43. Po odczytaniu tych poezyj wyrażamy życzenie, ażeby początkowy ich pisarz kształcił się, uczył się lepiéj i poprawniéj władać językiem, a wtedy dopiéro nie będziemy chcieli, by te piérwsze jego poezyje ostatniémi zostały.

Z Pragi. W *Kroku*, tutejszém piśmie nauczającém i bawiącém z r. 1833, jest przełożony z Rozmait. Lwow. „Scibor, pan Wagi“ (ob. nr. 20. Rozm. z r. 1832). — Pan Jungmann dokończył chwalebnie swojego pracowitego dzieła: „Słownika czeskiego,“ który wkrótce zacznie się drukować, ale nieszczęśliwy ten mąż stracił właśnie w tym czasie jedynego syna swego, nad czém i przyjaciele jego, i którym rzecz czeskiego języka jest na sercu, najmocnéj ubolewają. Był on miłośnikiem literatury polskiéj. — Pan Winarzycki kończy przełożenie „Światopłuka,“ poematu rycérskiego, który Holly napisał w narzeczu słowackiem

i wydał w Węgrzech w Tarnawie r. 1833. Przekłada także: „Baśnie i listy Bogusława Hazensztyńskiego z Lobkowic." — Pan Wilczek przełożył sześcio-miarowym wierszem „Iliadę" Homera. — Pan Szafarzyk przygotownje do druku swoje: „Starożytności sławiańskie," a od 1. marca b. r. przyjmuje redakcyją czeskiego Peny-Magazynu, pod nazwą: *Swiatozor*, wychodzić mającego n Haasego, a do którego przygotowane drzewo-ryciny przewyższają pięknością znajdujące się w *Pfennig-Magasin*. Moda umieszczania drzeworycin w dziennikach opanowała całą Europę. — Zamiast pisma *Indy a Nyni* wychodzą teraz *Kwiaty czeskie* po jednym arkuszu na tydzień.

Jakób Sobieski, ojciec króla Jana III., w podróżach swoich, wydanych r. 1833 z dawnego rękopisma w Poznaniu, opisuje: że w kościele S. Dyonizego, dwie mile za Paryżem, widział r. 1610, między innémi relikwiami, latarnią Judasza, z którą tenże chodził w nocy na zdradę i pojmanie Zbawiciela naszego. Dalej donosi także, iż królowie francuzcy, będąc namaszczani olejem, z ampułką z nieba spuszczonym, mieli moc w ręku leczyć chorobę, zwaną w o l ę, to jest, jak się wyraża: „bole gardła srogie." — „Było też coś podobnego i w Anglii," dodaje poczciwy Sobieski, „że też leczywali na pewną chorobę królowie angielscy starożytni, póki starożytnéj wiary nie odbiegli; gdy heryzyja się tam wszczęła, odbiegła ich i ta łaska boża. (Ob: Dwie podróże Jakóba Sobieskiego, odbyte po krajach europejskich w latach 1607 — 13 i 1638, a wydane przez Edwarda Raczyńskiego, na str. 70, 74 i 75.)" Szach perski ma po dziś dzień jeszcze dar z dostojnością swoją przywiązany, leczenia na febrę wyliczaniem na jego rozkaz w pięty chorego pewnéj liczby razów laską bambusową, i gdy nie dawno poseł angielski na dworze perskim zachorował na febrę, z któréj długo nie mógł się wyleczyć, szach perski, dowiedziawszy się o tém, ofiarował mu swoje *arcanum;* lecz poseł obrotny, nie chcąc odmówieniem wprost ofiarowanej sobie pomocy rozgniewać szacha, wymówił się zręcznym wybiegiem, odpowiedziawszy, że w jego kraju rzemiosło doktorskie uważają za upodlające, i że gdyby nżył wielkiego szacha do tak podłej usługi, wpadłby u swego Pana w niełaskę, którąby może życiem musiał przepłacić.

Poezyje poety francuzkiego Parny tłumaczone są na język kałmucki przez teraźniejszego hetmana Kozaków, księcia Potapowa. Jestto niezawodnie osobliwością literacką naszego czasu.

Księżna d'Abrantes wydaje w Paryżu, wspólnie z p. Straszewiczem, dzieło: *Les femmes célèbres de tous les pays, leurs vies et leurs portraits.* Ma wyjść dzieło to w 30 zeszytów, każdy cztérema litografowanémi portretami ozdobiony.

Wkrótce wyjdą w Paryżu *Mémoires de la marquise de Créqui.* Dama ta przynajmniéj wiekiem swoim przewyższy wszystkich dotychczasowych pamiętniko-pisarzy, ma bowiem przeszło sto lat i znała się osobiście tak z Ludwikiem XIV. jak i z Napoleonem.

Dwie szczególnie sztuki podobały się w czasach ostatnich niezmiernie w Paryżu: *Prix de folie* przez Arago i *Le magazin pittoresque.* W piérwszéj zabawne sceny wyprawiają waryjaci, a w drugiéj przychodzą bardzo zgrabnie wystawione wszystkie śmieszności, w które rok upłyniony obfitował.

Pewien dostrzegacz obliczył podług noworoczników Paryża i departamentów, że we Francyi jest 1,700,843 lekarzy, którzy znowu, podług innego wyrachowania, uznanego za zupełnie dokładne, mają do leczenia tylko 1,400,651 chorych. Prawników jest we Francyi 1,900,403, gdy tymczasem w spisach sądowych zanotowano tylko 998,000 procesów. Jeżli więc owi 902,403 próżnujący adwokaci nie zachorują z gniewu na brak zatrudnienia, 300,192 lekarzy nie będzie miało zupełnie kogo kurować.

Zręczny fabrykant narzędzi muzycznych, Pape, wynalazł w Paryżu nowy rodzaj fortepianów, których młotki z góry uderzają w struny, a które harmonją i mocnémi tony, jakoteż dobrocią i mniéjszém zabieraniem miejsca zaszczytnie się odznaczają. Kompozytorowie Cherubini, Bojeldieu, Auber i t. d. chwalą wynalazek ten w pismach publicznych.

Pewny dziennik francuzki zrobił uwagę, że kiedy jest już żegluga parowa między Libeką, Kopenhagą, Stokolmem i Petersburgiem, i gdy wkrótce urządzoną zostanie podobna żegluga z Hawru do Hamburga, potrzeba będzie jeszcze tylko zrobić kolej żelazną między Paryżem i Hawrem, a wtedy będzie mógł podróżny dostać się w krótszym czasie z Paryża do Londynu, Rotterdamu, Hamburga, Libeki, Kopenhagi, Sztokholma i Petersburga, jak teraz potrzebuje do podróży dyliżansem z Hawru do Marsylii.

Trafny badacz natury ludzkiéj, Hippel, robi uwagę, że piękność dziewicy nie na jej twarzy, ale w oku kochanka znajduje się. Nie jestto rzecz pojawiająca się w przedmiotach, ale zawarta jest w duszy tego, który na nią patrzy. Dla tego każdy z nas inaczej piękność widzi i co innego ładnem znajduje.

W jednym dzienniku angielskim czytamy twierdzenie, że większa część cygarów, którémi do Stan. Zjedn. Ameryki północnéj handel prowadzą, i których 100 kosztuje 8 do 10 szyling., robiona jest z liści kapuścianych, moczonych w mocnym ługu tytoniowym. Te gatunki cygarów rozchodzą się po całéj Europie pod różnémi nazwiskami z Hamburga, Maryland i Wirginii. Pewien chemik, który je rozbiérał, jest przeciwnie tego zdania, że cygara te robią się z liści sałaty, lecz piérwéj, podobnie liściom herbatnianym, dymione i walcowane bywają. W każdym względzie jest ta wiadomość ciekawą dla miłośników tytoniu.

W Bath i Brystolu w Anglii namnożyło się było bardzo wiele żebraków po ulicach. Zawiązało się więc towarzystwo i kazało kartki porobić, które za bardzo niską cenę rozprzedawało. Obywateli miasta uproszono, ażeby żebrakom nie dawali pieniędzy, tylko kartki tego rodzaju. Żebracy, udający się z takiémi kartkami do wyznaczonego ku temu wydziału, podpadają ścisłemu badaniu i wtedy dopiero, gdy okaże się, że są istotnie potrzebni, dostają wsparcie z funduszu zebranego ze sprzedaży kartek. Odtąd w obu tych miastach nie widać prawie żebraków po ulicach.

Wiadomo powszechnie, że opowiadający bajki jest w domach gościnnych Arabii niezbędnie potrzebnym człowiekiem. Mnóstwo jest tam takich opowiadaczy i ichto utworem jest zbiór bajek w „Tysiącu i jednéj nocy" i w „Makamah Hariri." Lekarz Demoiseau donosi, że opowiadacze ci rozpowiadają teraz Beduinom, w formie bajek, o wyprawie Francuzów do Egiptu. Z tych jeden zdziwionym słuchaczom swoim opisywał bomby francuzkie i ogromne ich działa; twierdził oraz, że Francuzi mieli moc czarodziéjską w swoich czapkach grenadyjerskich, że byli nieśmiertelni, mieli moc pomnażania wojska swojego i że pod wodą maszerować mogli. Słuchacze pożerali oczyma opowiadacza, a wrażenie, jakie na nich sprawiał, straszliwemi wydawali tony.

Donoszą, iż w Indiana zaprowadzono dzienniki wcale dziwnego rodzaju; t. j: każdy z prenumeratorów dziennika daje drukarzowi kawał cienkiego płótna lub muszlinu, wielkości arkuszowéj, drukarz układa swój dziennik większémi krotłami i z form odbija na temże płótnie, które po odczytaniu każe wyprać prenumerator, i na numer następny dziennika znowu do drukarni odsyła.

S p r o s t o w a n i e. W Nrze 8. Rozm. na piérwszéj kolumnie w 2giéj przedziałce w wiér. 3cim od dołu zamiast *pietnaści*, czytaj *pietnaście;* na str. 60 przed. 2giéj w. 19 zamiast *odmienić*, czytaj *odmieniać;* na str. 63 przed. 1széj w. 29 zamiast *niepranego*, czytaj *nieprawego;* na str. 64 przed. 2giej wiér. 12 od dołu, zamiast *blak*, czytaj *blask*.

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.